

Marcin Kepiński
Uniwersytet Łódzki

"Czytając mój dziennik, jakiego doznajecie wrażenia? Czyż nie takiego, że wieśniak z Sandomierskiego wszedł do fabryki roztrzęsionej, wibrującej i spaceruje, jakby chodził po własnym ogrodzie? (...) Nie być w kulturze niczym więcej, jak tylko wieśniakiem, jak tylko Polakiem(...). Być swobodnym, ale nawet w swobodzie nie być nadmiernym."¹

**Polska i Argentyna, miasto i wieś.
Przestrzeń i miejsca Witolda Gombrowicza.**

Jerzy Jarzębski pisze, że "Nazwany w oczy *pisarzem ziemi kieleckiej* Gombrowicz wpadłby z pewnością w furję"² i oczywistym wydaje się, że należy przyznać mu rację w tej ocenie stosunku Witolda Gombrowicza do szeroko rozumianego regionalizmu i małej ojczyzny. Każdy znawca dzieł pisarza wie bowiem dobrze, że nie tylko nie cenił on zbytnio kultury polskiej, ale i drwił z tych jej części, które uważał za szkodliwe dla tożsamości zbiorowej Polaków. Jednym z elementów tradycji narodowej, mających najbardziej destrukcyjny wpływ na jego rodaków, była wedle Gombrowicza *szlachecka zaściankowość*, stanowiąca synonim kulturowej izolacji i etnocentryzmu, całkowitego zamknięcia we własnej, bliskiej i znajomej przestrzeni, rozleniwienia umysłowego i braku ciekawości świata. Przy czym świat ten rozumiany był wedle znanej etnologom, odwiecznej zasady *swój - obcy* i poddany swoistej mitologizacji, nie tylko przez swoich mieszkańców, ale przede wszystkim na łamach narodowej twórczości literackiej, od preromantycznej, poprzez młodopolską, a skończywszy na literaturze dwudziestolecia międzywojennego. Ta właśnie, *szlachecka zaściankowość*, jak Gombrowicz nazywał postawę *zamkniętą* wobec rzeczywistości, przetrwała jego zdaniem w prawie niezmienionej postaci, aż do czasów pisarzowi współczesnych. Mógł ją, funkcjonującą jako część obowiązującej w jego sferze społecznej obyczajowości, obserwować w trakcie swego życia w Polsce międzywojennej. Co jednak ciekawe, nie przeszkadzało mu to przybierać postawy *szlachcica ze wsi*, jak sam się lubił określać na kartach *Dziennika* i w *Rozmowach* z Dominikiem de Roux, czy nawet pozować na nieokrzesanego, polskiego wieśniaka, przeciwstawiającego swojską, słowiańską prostotę wyszukanemu wyrafinowaniu zachodniej kultury.

Braki i nieadekwatności kultury narodowej raziły pisarza już w Polsce międzywojennej, ale ze szczególną wyrazistością zobaczył je z emigracyjnego

¹ Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953 - 1956*, Kraków 1989, s. 145 - 146.

² J. Jarzębski, *Podglądanie Gombrowicza*, Kraków 2000, s. 34.

oddalenia, które pozwoliło mu na *nabranie dystansu* wobec polskiej tradycji. Gombrowicz pisał: "Ja byłem Polakiem.(...) Byłem Polakiem. Znajdowałem się w Polsce. Czymże jest Polska? Jest to kraj między Wschodem a Zachodem, gdzie Europa poczyną się już wykańczać, kraj przejściowy, gdzie Wschód i Zachód wzajemnie się osłabiają. Kraj przeto formy osłabionej... Żaden z wielkich procesów kultury europejskiej nie przeorał naprawdę Polski, ani renesans, ani religijne walki, ani rewolucja francuska, ani rewolucja przemysłowa; tu tylko złagodzone echa dochodziły.(...) Katolicyzm? Kraj jest wprawdzie w orbicie Rzymu, ale polski katolicyzm jest bierny, polega na ścisłym przestrzeganiu katechizmu, nigdy nie był twórczą współpracą z Kościołem.(...) Tu kultura była równinna, wiejska, pozbawiona wielkich miast, silnego mieszczaństwa(...). Była szlachecko - chłopska, szlachcic na folwarku siedział, chłopem poganiał, a ksiądz proboszcz był wyrocznią. Poczucie bezformia, dręczące Polaków, ale też wypełniające ich jakąś dziwaczną wolnością, było u źródła ich uwielbienia dla polskości.(...) I jakżeż ja mogłem w rozgrywce o moją osobowość oprzeć się na mojej kulturze narodowej? Owszem, ta forma polska, styl sarmacki, istniały(...), ale to było za kuse i tkwił w tym element rozkładowy słabości."³

Widzimy teraz Polskę oczami Gombrowicza - kraj wiejskich równin, leżący nie w sercu, ale gdzieś na uboczu Europy, gdzie wszystko biegnie niespiesznie swoim leniwym torem, gdzie niechętnie przyjmuje się wszelkie zmiany, nie lubi się za nado pracować, ani robić niczego za szybko i myślał wybiegać za daleko w przyszłość.

Przypomnijmy, że Witold dorastał na wsi, w jej najbardziej wyrazistym, szlachecko - ziemiańskim rodzaju, której obraz, ukształtowany w ciągu wieków historii, właściwie się nie zmieniał i niechętnie poddawał głębszym procesom społecznej i kulturowej konwersji. Rodzinny majątek ziemski wraz z jego otoczeniem stał się później kanwą dla licznych utworów pisarza, a motyw ziemiańskiego dworku pojawia się zarówno w okresie wczesnego Gombrowicza - choćby w *Ferdydurke* i *Opętanych*, jak i późnego - na przykład w *Pornografii*.

Wiemy, że do zachowania pamięci o przeszłości swego rodu, jego konksjach, majątkach, tytułach, pojedynkach, ale i udziale w wojnach i narodowych powstaniach Witold Gombrowicz przykładął niezmierną wagę. Zauważmy też, że mitologizacja przestrzeni własnego dzieciństwa, którą możemy prześledzić na kartach literatury Bohumila Hrabala, Tomasza Manna, czy Brunona Schulza, staje się również udziałem Gombrowicza. Być może pozwalała mu ona zachować swą odrębność w Argentynie i Europie. Jeśli zaś nawet wypowiadał się krytycznie o polskiej kulturze, tradycji i historii, a pewne ich elementy odrzucał, to jednak pozostał polskim pisarzem.

³ Witold Gombrowicz, *Testament*, Warszawa 1990, s. 26 - 27.

Głęboko ukryta, zawstydzająca go tęsknota za krajem rodzinnym, jego miejscami magicznymi, zawsze była w Gombrowiczu obecna. Wystarczy przypomnieć sobie fragmenty berlińskiego Dziennika, kiedy podczas spaceru w parku, zapach wilgotnej ziemi, drzew i roślin, po latach spędzonych w Argentynie, wywołuje z pamięci pisarza obraz rodzinnego, wiejskiego domu Gombrowiczów. Alicja Giangrande, u której bywał częstym gościem, odkrywa tę sentymentalną twarz Gombrowicza: "Kiedys opowiedziałam Witoldowi, że ja pochodzę właściwie z Działoszyc, że tam właśnie kiedys znajdował się dwór mojego dziadka. *Tak?* Skoczył nagle. *Działoszycie muszą być koło Małoszyc!* - i nagle, zupełnie niespodziewanie, oczy tego prześmiewcy przybrały znów szklistą barwę.(...) Oczywiście Małoszycie nie leżą koło Działoszyc, ale ważny był powód tego wzruszenia: **powrót pamięcią do rodzinnego majątku**, skąd kiedys Gombrowicz wyruszył w świat."⁴ (Podkreślenie moje - M.K.). Obraz Witolda Gombrowicza mającego łzy w oczach na wspomnienie rodzinnego domu z pewnością zaskoczy niejednego czytelnika jego dzieł.

Gombrowicz, ten oschły krytyk polskiej historii, literatury, a nawet kraj-obrazu, powinien być przecież pozbawiony jakiegokolwiek rodzaju sentymentalnych uczuć wobec rodzinnego pejzażu, jak i miejsc, w których spędził młodość w kraju rodzinnym. Co więcej, jedną z konsekwencji literackiego credo, jakie wyznawał, winien być brak zakorzenienia w konkretnej kulturze narodowej i nieobecność konstrukcji symbolicznych, związanych z małą ojczyzną pisarza, takich choćby jak arkadyjski mit szlacheckiego dworku.

Za tym bardziej dalekie od jego akceptacji należałoby uznać elementy kultury materialnej, charakterystyczne dla rustykalnego pejzażu pozostałości kultury szlacheckiej w Polsce, jak ziemiański dwór, rezydencja z parkiem, czy wreszcie wiejskie chaty, nie mówiąc już o wszelkich narzędziach i budynkach gospodarczych.

A mógł Gombrowicz widzieć je za każdym razem, kiedy bywał w majątkach obu starszych braci, odwiedzał rodzinne włości, czy po prostu spędzał wakacje na wsi. Jak twierdzą rozmówcy Joanny Siedleckiej - sąsiedzi i służba Gombrowiczów - nie zdarzało się, żeby młody Witold przejawiał jakiegokolwiek zainteresowanie pracami polowymi, żywym inwentarzem, narzędziami i w ogóle sprawami związanymi z życiem wsi. Nie gustował również w rozrywkach odpowiednich dla młodego panicza, jak choćby polowanie i jazda konna. Zdawało się, że jest mu zupełnie obojętne życie mieszkańców Bodzechowa i Małoszyc, biegnące swoim z góry ustalonym torem, wyznaczanym przez naturę i rok obrzędowy. Witold nie zaczepiał wiejskich dziewczyn, nigdy nie przeszkadzał w pracy fernalom i gospodarzom, a od służby nie wymagał zbyt wiele. Jaśniepanicz niczego specjalnego nie zamawiał. Jadł i pił tylko to, co mu

⁴ Krzysztof Miklaszewski, *Distancia, Witoldo*, Warszawa 2004, s. 108 - 109.

podawano, nie więcej; słowem nie miał żadnych pańskich zachcianek i fanaberii.

Rozmówcy Joanny Siedleckiej postrzegali go jako trzymającego się nieco z boku młodego człowieka, nudnego i nieobecnego w codziennym życiu dworu⁵. Szczupłemu i delikatnemu Witoldowi, nie dość, że brakło pańskiej postawy, to i nie stało wielkopańskiej manieri - niestety nie wdał się w swego ojca - prawdziwego pana: "Jaśnie pan Gombrowicz był piękny, wysoki, postawny. Jak tur albo niedźwiedź. Drugiego takiego pana ze świecą trzeba byłoby szukać."⁶

Tym bardziej intrygującym jest więc fakt czynienia z wiejskiej przestrzeni miejsca akcji powieści i dramatów Gombrowicza, jak i to, że jest ona żywo obecna we wspomnieniach i rozmowach pisarza ze znajomymi i przyjaciółmi, zarówno z Polakami, jak i obcokrajowcami, w trakcie pobytu w Argentynie i Europie. Mieszkańcy wsi, których pozornie zdawał się nie zauważać, są ważnymi bohaterami jego książek, a pisarz obdarza ich wyczuwalnym szacunkiem. Są oni dla Gombrowicza autentyczni, niosą ze sobą określone, pozytywne wartości, a ich świat, choć nieskomplikowany, nie jest w żadnym razie godzien pogardliwego uśmiechu. Z obrazów wsi i jej mieszkańców, malowanych ręką Gombrowicza na kartach literatury, wyziera wyraźna sympatia, a nawet podziw dla siły, z jaką znoszą swój niełatwy los. Pisarz dostrzega niekłamana szczerość ich postawy wobec życia i prawdziwość egzystencji, której daremnie szukał pośród swojej warstwy społecznej.

Jak zauważył Klaus Volker, lewicujący berliński intelektualista, Gombrowicz "Potrafił rozmawiać z prostymi ludźmi. Znikały wówczas wyszukane manieri literata.(...) Był w moich oczach proletariackim arystokratą, jego skromność zaś i prostota stanowiły jak gdyby przeciwwagę dla jego egotyzmu."⁷

Po wielu latach, w rozmowy z argentyńską polonią i odwiedzającymi go w Vence Polakami, Gombrowicz wplata słowne regionalizmy i powiedzonka charakterystyczne dla swoich rodzinnych stron. W *Ferdydurke*, *Ślubie* i *Operetce* postaci wywodzące się z *ludu*, jak Walek, Mańka, lokaje i służba, mówią stylizowanym na wiejski dialektem. Są to bohaterowie literaccy, których pierwowzorem mogli być chłopscy sąsiedzi rodziny Gombrowiczów. Prócz używanego przez nich języka, argumentem przemawiającym za tym przypuszczeniem jest ogromnie rozwinięty zmysł obserwacyjny pisarza i uderzający realizm opisów doświadczanej rzeczywistości. Pamięć miejsc, w których przebywał, pozostawiła wyraźny ślad w jego twórczości. Taki właśnie plastyczny, po-

⁵ O życiu Witolda Gombrowicza na wsi patrz: Joanna Siedlecka, *Jaśniepanicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Warszawa 2003.

⁶ Joanna Siedlecka, *Jaśniepanicz. O Witoldzie Gombrowiczu*, Warszawa 2003, s. 14.

⁷ Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie 1963 - 1969*, Kraków 2002, s. 224.

ruszający wyobraźnię czytelnika, opis wiejskich pól i podmokłych łąk odnajdziemy w *Pornografii*. Obraz domu, obecny w utworach pisarza, choć zdegradowany i wykrzywiony w zwierciadle groteski, wyraźnie występuje we *Wspomnieniach Polskich* i *Testamencie*, gdzie Gombrowicz wspomina swą przeszłość. A przecież dom jest miejscem intymnym, "Dom dostarcza obrazu przeszłości."⁸ I ten obraz, szczegółowy i nacechowany pozytywnymi emocjami, jest żywo w pamięci pisarza obecny.

Dla stylu życia swojej własnej klasy społecznej Witold Gombrowicz nie ma słów usprawiedliwienia. Nie znajduje też ona w jego oczach akceptacji, mówiąc słowami Thorsteina Veblena, uważa ją za swego rodzaju *klasę próżniaczą*, bez przyszłości i racji bytu. Nie znaczy to bynajmniej, że Gombrowicz był bliski ideologiom lewicowym, obecnym w dwudziestoleciu międzywojennym i programowo postulującym radykalną zmianę społeczną. Pisarz uważał, że uczynią one więcej szkód, niż pożytku i tak naprawdę, w niewielkim stopniu odmienia trudne życie mieszkańców wsi. Zawsze będą oni narażeni na bezpośredni kontakt z naturą, która dla Gombrowicza jest równie nieobliczalna, co groźna.

Czytelnikowi *Dziennika* wydawać by się mogło, że walczący ze swoim dziedzictwem kulturowym i żywo polemizujący z polską tradycją pisarz jest pozbawiony w niej zakorzenienia, a jego wspomnienia ojczyzny są chłodne i brak w nich pozytywnych uczuć. Wszak Witold Gombrowicz wiele razy powiadał, że to właśnie przymusowa emigracja pozwoliła mu *nabrać dystansu* do polskości, rodzinnych stron i otoczenia społecznego, które, o co miał zresztą żal, nie rozumiało go i nigdy nie akceptowało.

Można również odnieść wrażenie, że ten bywalec kawiarnianych stolików Warszawy, Buenos Aires i Vence, jak każdy *prawdziwy* inteligent i mieszkaniec miasta, nie czuje się dobrze na wsi, w otoczeniu natury, źle wpływa na niego brak ulicznego ruchu, anonimowego tłumu, miejskiego gwaru, zapachów i kolorów.

A jednak, można pokusić się o stwierdzenie, że Witold Gombrowicz, jak każdy człowiek, posiadał swoje ulubione miejsca, z którymi był mocno związany emocjonalnie i określony typ przestrzeni, gdzie po prostu czuł się dobrze. Jako twórca najlepiej funkcjonował zaś w określonym rodzaju otoczenia, na które składał się szereg elementów, a znaczącą częścią jego struktury była właśnie przestrzeń.

Wydaje się, że prócz Małoszyc i Bodzechowa, które były dla niego miejscami magicznymi, związanymi z dzieciństwem i młodością, takie miano można również nadać Argentynie, jej stolicy - Buenos Aires, jak i prowincjom, w których Gombrowicz bywał jako gość swoich przyjaciół, posiadających domy

⁸ Yi-Fu Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, Warszawa 1987, s. 164.

na argentyńskiej wsi. Sądzę też, że pod koniec życia nie przypadkiem wybrał na miejsce zamieszkania małe miasteczko na południu Francji, Vence, leżące w pięknej okolicy, niedaleko Nicei, pomiędzy górami a morzem. Witold wraz z żoną i przyjaciółmi często urządzali wycieczki w ciche, wiejskie zakątki. Bliski kontakt z naturą stał się dla pisarza ważniejszy od miejskiego gwaru. W Vence Witold stanowił nie lada osobliwość, doszło nawet do tego, że turyści i przejezdni pytali miejscowych o tego dziwnego polskiego pisarza⁹.

Równie szczególnymi miejscami, do których pisarz miał jednak zdecydowanie negatywny stosunek, były wielkie europejskie metropolie - Berlin i Paryż. Gombrowicz otwarcie przyznawał, że nie podoba mu się ich przestrzeń i brak bliskich, międzyludzkich więzi, charakterystycznych dla wspólnot, jakie tworzył w Warszawie, czy Buenos Aires.

Cóż to jednak jest takie - miejsce i przestrzeń? Jak rozumieć te określenia, porządkujące ludzkie doświadczenie, jak odnieść je do biografii Witolda Gombrowicza? Sądzę, że należy podkreślić znaczącą subiektywność w nadawaniu im znaczenia, szczególnie w przypadku pisarzy, takich jak Gombrowicz. Na jego olbrzymią wrażliwość nakłada się doświadczenie emigracji, osamotnienia, utraty domu, ojczyzny, porzucenie znajomej przestrzeni i bliskich sercu miejsc.

A przecież wiemy, że "Miejsce jest obiektem szczególnego rodzaju. Jest konkretyzacją wartości, choć nie jest wartościową rzeczą, którą by można trzymać w ręku, albo się z nią obnosić. (...) Przedmioty i miejsca są centrami wartości. Przyciągają i odpychają w sposób subtelnie zróżnicowany. Zwrócenie na nie uwagi nawet przez krótki moment jest uznaniem ich realności i wartości. (...) Przedmiot lub miejsce zyskuje konkretną realność, jeśli doświadczamy go w sposób totalny, to znaczy wszystkimi zmysłami oraz aktywną i refleksyjną myślą."¹⁰ Gombrowicz opisywał wiele miejsc, a w tym kilka szczególnie dla niego ważnych - dom rodzinny, Małoszyckie i Bodzechowskie pola i wsie, rodowe dworki, w których się wychował, Buenos Aires i argentyńską prowincję. Jego refleksyjna myśl, nacechowana głęboką emocjonalnością, znalazła odbicie w stworzonej przez niego literaturze. Można z niej wydobyć wiele z jego autentycznych, biograficznych doświadczeń związanych z przestrzenią Polski i Argentyny. Być może dlatego, że wraz z upływem czasu i coraz większego oddalenia od rodzinnych stron, miejsca z nimi związane nabierały dla Gombrowicza znaczenia nacechowanego silnymi emocjami, a przecież "miejsce może nabrać wielkiego znaczenia dla osoby dorosłej, dzięki sentymentowi narastającemu z upływem czasu."¹¹

⁹ O życiu Witolda Gombrowicza w Vence patrz: Kazimierz Głaz, *Gombrowicz w Vence*, Kraków 1989.

¹⁰ Yi-Fu Tuan, op. cit., s. 22 - 31.

¹¹ Ibidem, s. 49.

Witold Gombrowicz nie raz podkreślał swoje ziemiańskie, *dobre* pochodzenie. Kiedy było mu to potrzebne, świadomie przybierał pozę 'szlachcica ze wsi', czy wręcz wieśniaka nieobytego w świecie (tak pisze o sobie w "Dzienniku"). W Argentynie zaś tytułowano go czasami: *el comte Gombrowicz*, czyli hrabia.

Wieś i wiejskie życie wyższych i niższych sfer przedwojennej Polski pisarz poznał gruntownie, bowiem sam się pośród nich obracał. Wychował się w majątku ojca, a gdy dorósł często korzystał z gościnności braci: Janusza i Jerzego Gombrowiczów. Obaj posiadali majątki ziemskie.

Witold Gombrowicz "urodzony w ziemiańskim dworze w Małoszycach, (...) i przez matkę, Kotkowską z domu, spokrewniony z wieloma rodzinami obywatelskimi z okolicy - nigdy właściwie nie czuł się zakorzeniony w tamtym krajobrazie.(...)Drugi fakt, który go wyobcował z wiejskiego towarzystwa, to wychowanie w warszawskim otoczeniu.(...)Od siódmego roku życia zamieszkał na stałe w stolicy, odwiedzając wieś często - ale już na prawach gościa. Efektem tego był podwójny niejako dystans, z którego Witold zawsze obserwował rodzinną okolicę i ziemiański obyczaj..."¹²

Jak zauważa Jerzy Jarzębski, wieś i dworek ziemiański są miejscem akcji utworów Gombrowicza, który upodobaniem wyśmiewał wyższą sferę ziemiaństwa - arystokrację. Warto tu wymienić *Pornografię*, *Trans - Atlantyk* (dwór Gonzala jest tu siedliskiem anarchistycznej anty - tradycji), *Biesiadę u hrabiny Kotlubaj*, *Opętanych* czy wreszcie *Ferdydurke*.

W Małoszycach i Bodzechowie, rodzinnych dworach pisarza, do których po przeprowadzce do Warszawy przyjeżdżał na wakacje, krytycy dopatrują się pierwowzoru miejsc akcji, wątków i postaci wielu jego utworów.

Opowieści służby i chłopskich sąsiadów Gombrowiczów spisane przez Joannę Siedlecką, mówią o przyzwyczajeniach *jaśniepaństwa*, o tym jak się zachowywali, czym się zajmowali, co lubili jeść i w co się bawić. Gombrowicze "najbardziej lubili proste wiejskie potrawy(...). Na śniadanie jedli najczęściej zacierki na mleku(...). Poza tym: kartofle w skórce pieczone w duchówce (*córka kucharki wydłubywała w nich dziury, żeby jaśnie państwo mogło wkładać łyżeczką do ziemniaków masło* - M.K.)(...), podawane z kwaśnym mlekiem. Kury, koguty, rosół. Najróżniejsze ryby.(...). Ciasta do cukrowanej herbaty - przede wszystkim drożdżowe i serowiec. I dużo innych, dobrych rzeczy, aż trudno spać, bo jaśnie państwo było żarte, nie ma co ukrywać. Ciągłe coś szło na stół..."¹³

Witold Gombrowicz we *Wspomnieniach polskich* opisuje zimowy pobyt w majątku brata, Janusza Gombrowicza jako pasmo nudy, doprowadzającej go

¹² J. Jarzębski, op. cit., Kraków 2000, s. 39.

¹³ Joanna Siedlecka, *Jaśniepanicz*, Kraków 1987, s. 17 - 18.

do rozpaczcy swą monotonią.

Witold przyjechał 'podreperować zdrowie', jadł i spał, chodził z dubeltówką na spacer do ośnieżonego lasu. "Pękałem od jedzenia. - *Opowiada Gombrowicz* - W domu było gorąco. Służba dogadzała mi, jak mogła. Nudziłem się i żarłem - żarłem i wałęsałem się po lesie - wracałem do domu, żarłem - kładłem się spać i wsłuchiwałem się w nagły rejwach psów, w ponocne popłochy i gorszą jeszcze ciszę, rozfalowaną szumem chojarów."¹⁴ Ten sam opis ziemiańskiej, dworskiej rzeczywistości czytelnik znajdzie w *Ferdydurke*. Ten sam zaduch, przejedzenie, nuda, ciemność i las.

Rodzinę Gombrowiczów, choć spokrewnioną po kądzieli z Kotkowskimi, uważano za dość normalną w porównaniu z tymi sławnymi, oryginalnymi i leniwymi kuzynami: "Było wśród Kotkowskich kilku bardzo pracowitych(...) Stworzyli pozostałym rajskie życie. Reszta mogła nic nie robić. A wtedy wiadomo - przychodzą człowiekowi do głowy różne fanaberie. Cały czas przecież tylko śniadania, podobiadki, obiadki, podwieczorki, kolacja, podkurki. (Do stołu zasiadało kilkadziesiąt osób). Polowania, karty, tenis, spacer, balet, goście. Tak tam było wesoło, gwarno, rojno, towarzystwo w każdym wieku, że okoliczni panowie(...) ciągnęli do Bodzechowa niczym pszczoły w grykę."¹⁵

Wiejskie życie Gombrowiczów i Kotkowskich to gospodarstwo, ale przede wszystkim właśnie zabawy, wizyty gości z innych dworów, przyjęcia, polowania i jazda konno, gra w karty i tenisa, spacer, rozrywki i próżnowanie.

Powtórzymy więc, że zabawa, lenistwo i jedzenie to nieodłączne atrybuty ziemiańskiego dworu i jego "pańskich" mieszkańców, nie tylko w twórczości Gombrowicza, ale i w rzeczywistej, przedwojennej Polsce, którą opisywał we *Wspomnieniach Polskich*.

Znakomitym źródłem literackich obrazów miejsc i postaci były nie tylko osobista obserwacja, ale też historie i opowieści o Kotkowskich - rodzinie pisarza ze strony matki. Ci zdziwaczali, zdaniem pisarza, przedstawiciele zamożnego ziemianstwa, między którymi było kilku prawdziwych wariatów, stanowili jeden z ulubionych tematów rozmów Witolda Gombrowicza. Miejsca takie, jak bodzechowski dwór i park umieścił w swoich utworach (choćaby *Pornografia i Opętani*), zaś słowo palic (czyli palec), które wypowiada w Ślubie tak ważna postać jak pijak - jest tamtejszym regionalizmem. O swym wuju - wariacie wspominał Dominikowi de Roux Gombrowicz w *Rozmowach* (w dzieciństwie Witold widywał w Bodzechowie dwóch zupełnie niespełna rozum Kotkowskich - Bolesława i Kazimierza). Rodzina i krewni, ziemiańscy sąsiedzi i przyjaciele Gombrowiczów (a szczególnie Kotkowscy) stanowią pierwowzór wielu postaci z twórczości pisarza. O matce Gombrowicza, nazywanej

¹⁴ Witold Gombrowicz, *Wspomnienia polskie*, Warszawa 1990, s. 43.

¹⁵ Joanna Siedlecka, op. cit., Kraków 1987, s. 36.

przez mieszkańców wsi i służbę *mumią*, możemy przeczytać w *Jaśniepanie*, że "nigdy - jak to inne panie - nie zagadała, nie raczyła nic powiedzieć, gdy zdejmowało się przed nią czapkę. Pyszna, dumna, sztywna. Zawsze też ubrana na czarno, z parasolką, choć świeciło słońce. Często też sama do siebie gadała..."¹⁶ Jeden z kuzynów Witolda, Franciszek Kotkowski "wpadł na pomysł, żeby zamiast wyrzucać gnój na pole, płacić ludziom z Bodzechowa za to, żeby od razu szli na dworskie pola. Bo po co podwójna robota?"¹⁷ Z kolei inna kuzynka Kotkowska miała zwyczaj grać w pokera sama ze sobą i czterema wymyślonymi partnerami, cały czas z nimi rozmawiając. Kiedy pojechała do miasta "brała ze sobą kilka portmonetek, kładła do środka karteczki z napisem *nie kradnij*. Siadała na ławeczce, umieszczała jedną z portmonetek na kolanach i udawała, że śpi. Była wniebowzięta, gdy ktoś ją ukradł, po czym powtarzała to samo - na tym schodził jej dzień."¹⁸ W Bodzechowskim parku Bronisława Kotkowska widywała często duchy - *białą damę* albo *czarnego pana*. Czy można więc dziwić się Gombrowiczowi, że lubował się w odwoływaniu do takich pięknych rodzinnych tradycji?

Dyskusje i walki słowne były żywiołem Gombrowicza. To przyznają wszyscy, z którymi przeprowadzała rozmowy jego żona Rita, od Argentyny, poprzez Berlin, aż po Vence. Sposób ich prowadzenia, stosowania konwencji żartu i absurdu, jak sam przyznawał, poznawał w domu. Terminował u brata - Jerzego Gombrowicza, wraz z nim i Januszem prowadząc niekończące się dyskusje z matką. Grali w grę - kto kogo nabierze, kto wymyśli większą bzdurę? Wiele ze swego poczucia humoru zawdzięcza Witold właśnie Jerzemu - obdarzonemu darem krasomówstwa starszemu bratu. W porównaniu z nim Witold był wstydlivy i zamknięty w sobie. "Choć zdarzało mu się czasem powiedzieć przy stole (*w majątku brata* - M.K.) - coś do śmiechu, na przykład - Nie jedzcie tyle, udławicie się na śmierć!"¹⁹

Po wielu latach, w zupełnie już innych, powojennych czasach, Olga Scherrer - Wirska, dzięki której twórczość Gombrowicza zaczęła być znana w Ameryce, wspomina, że: "kilka razy wiozła z Paryża do Royarmont znajomych Polaków, którzy jeździli do Gombrowicza - jak mówił - *na namaszczenie*. Kpił ze wszystkich bez wyjątku."²⁰

Kpina i poza były, być może, reakcją na wyobcowanie. Wieczny emigrant, wewnętrznie rozdarty i pogrążony w swoim świecie, który jest tak bardzo światem mozołnie budowanych relacji "ja" - inni, do którego nikt poza nim samym

¹⁶ Ibidem, s. 34.

¹⁷ Ibidem, s. 35.

¹⁸ Ibidem, s. 37.

¹⁹ Ibidem, s. 46.

²⁰ Ibidem, s. 264.

nie na dostępu. Obcy dla służby, bo panicz z "panów". Obcy dla środowiska własnej klasy społecznej, bo zbyt dziwnie się zachowujący i uprawiający pisarstwo, co nie jest w żadnym razie zawodem godnym syna z ziemiańskiej rodziny. Wreszcie obcy dla części środowiska literackiego, postrzegany jako "ziemiański syn ze wsi".

Przyjrzyjmy się teraz przygodzie Gombrowicza z Argentyną.

Był sierpień roku 1939. Do argentyńskiego nabrzeża przybił transatlantyczny statek "Chrobry". Deski trapu sprowadziły z pokładu na brzeg mało wtedy znanego poza granicami Polski pisarza, autora kilku książek - powieści i zbioru opowiadań.

Oto jak Gombrowicz, ubierając bohatera *Trans - Atlantyku* w swoje szaty, opisuje przyjazd do Argentyny: "Odczuwam potrzebę przekazania Rodzinie, krewnym i przyjaciółom moim tego oto zaczątku przygód moich, już dziesięcioletnich, w argentyńskiej stolicy. (...) Dwudziestego pierwszego sierpnia 1939 roku ja na statku "Chrobry" do Buenos Aires przybijałem. Żegluga z Gdyni do Buenos Aires nadzwyczaj rozkoszna... i nawet niechętnie mnie się na ląd wysiadało, bo przez dni dwadzieścia człowiek między niebem i wodą, niczego nie pamiętny, w powietrzu skąpany, w fali roztopiony i wiatrem przewiany. (...)"²¹

Bohater *Trans - Atlantyku* zszedłszy na ląd w Buenos Aires, jest po długiej morskiej podróży zdezorientowany: "Zgiełk, pył i szarość ziemi niemiłe poraziły po owym czystym, słonym różańcu fal cośmy go na wodzie odmawiali. Niemniej, przez plac Retiro(...) przeszedłszy, żwawo w ulicę Florida wstąpiliśmy, a tam sklepy luksusowe, nadzwyczajna Artykułów, towarów obfitość i publiczności kwiat dystygowanej, tam Magazyny wielkie, i cukiernie."²²

Buenos Aires jawi się w *Trans - Atlantyku* nie tylko jako miejsce obce, ale też jako siedlisko kultury konsumpcyjnej, podobne do wielkich miast dziewiętnastowiecznych społeczeństw wczesnego kapitalizmu, które "stawały się dogodnym terenem dla baśniowych światów - strumienia wciąż zmieniających się towarów, obrazów i ciał ludzkich."²³

Obca przestrzeń ogromnego miasta o szerokich, zgiełkliwych ulicach zalanych słońcem, niezmiernie przytłacza bohatera powieści. Spacerując nieśmiało po pasażu ulicy Florida, nikomu nie znany polski literat dostrzega więc

²¹ Witold Gombrowicz, *Trans - Atlantyck*, Warszawa 1957, s. 11.

²² Ibidem, s. 12.

²³ Mike Featherstone, *Postmodernizm i estetyzacja życia codziennego*, [w:] *Postmodernizm. Antologia przekładów*, red. R. Nycz, Kraków 1997, s. 311.

wielkie sklepy i magazyny, kawiarnie i cukiernie, a wszystko to wypełnione tętniącą ludzką rzeką, tłumem podobnych jemu, anonimowych spacerowiczów. Planty Buenos Aires widziane przez przechodnia z Polski są niczym baśniowe światy kultury konsumpcyjnej, a pasaże i olbrzymie magazyny handlowe kuszą materializacją mirażu fetyszyzmu towarowego: "Florida ulica, jak już wspomniałem, ze wszystkich miasta ulic najbardziej luksusowa; tam sklepy, tam gustowne Zakłady wszelkiego rodzaju, kawiarnie, cukiernie; a dla pojadów wzbroniona, spacerowiczów tłumem wypełniona, słońcem rozjaśniona, skrzy się, mieni, pawim ogonem się puszy."²⁴ *Bohater Trans - Atlantyku*, alter ego Gombrowicza, jest zdumiony przede wszystkim rozległością miasta, długością i szerokością jego ulic, a także wielkim nagromadzeniem wszelkiego rodzaju sklepów i kawiarni w dzielnicy handlowej. Płynie ludzką rzeką, włączając się nieśmiało w *strumień obrazów i istnień*.

We wspomnieniach pisarza wciąż obecne są szczególne miejsca *jego Argentyny*, które pozostały mu bliskie i obdarzone przez niego sentymentalnym uczuciem. To Tandil, La Falda, Mar Del Plata i właśnie Buenos Aires. Ulica tej metropolii, *Bacacay*, na której mieszkał przez dłuższy czas, znalazła swoje miejsce w tytule zbioru opowiadań, wydanym w Polsce, w roku 1957.

Co takiego, po początkowym zanurzeniu się w obcej przestrzeni, opisanym w *Trans - Atlantyku* i *Testamencie*, prócz pisania i pracy w banku robił w Argentynie Gombrowicz? Możemy postawić tezę, że próbował odtwarzać pewne rytualne elementy swego życia z przedwojennej Polski.

Zabiegom tym poddawał również przestrzeń. Przede wszystkim pisarz znalazł miejsce, które mu odpowiadało i uczynił go centrum swego małego wszechświata. Bywał mianowicie w leżących blisko siebie kawiarniach "Gran Rex" i "La Fragata", grając tam w szachy, prowadząc dyskusje i walki słowne. Kawiarnia, w Polsce, czy w Argentynie zawsze była dla Gombrowicza miejscem szczególnym.

Jako część przestrzeni publicznej, którą Gombrowicz śmiało anektował dla celów prywatnych, służyła podtrzymywaniu ożywionego życia towarzyskiego. Była miejscem poważnych intelektualnych dyskusji, jak i zwykłej zabawy, a nawet błazenady. Była częścią dziedzictwa obyczajowości kultury szlacheckiej, której Gombrowicz pozostał nieodrodnym dzieckiem. Jak zauważa Janusz Tazbir: "Jeszcze w XX wieku wychowanemu w kręgu tych właśnie tradycji towarzyskich Witoldowi Gombrowiczowi będzie brakować właśnie rozmów, kontaktu z partnerem poprzez żywe słowo. Jego towarzyskość wywodziła się w prostej linii z obyczaju szlacheckiego, kawiarnia zaś stanowiła dla tego wybitnego kontynuatora *Pamiętek Soplicy* namiastkę dworku szlacheckiego, czy nawet ganku, na którym można było przyjaźnie pogwarzyć z

²⁴ Witold Gombrowicz, *Transatlantyk*..., s. 24.

sąsiadami."²⁵ Gombrowicz, jak wspominają argentyńscy rozmówcy Joanny Siedleckiej, rzeczywiście mieszkał w przeróżnych, raczej podrzędnych hotelikach i pensjonatach. Rzadko, jeśli nie w ogóle, zapraszał gości do siebie. Wolał spotykać się z nimi w wybranej kawiarni, ponieważ w tym czasie nie miał prawdziwego domu. Gombrowicz, mieszkający z Alejandro Russovichem w jednym pensjonacie, "w owym czasie nie przyjmował u siebie nikogo. Dopiero w późniejszych latach czasem odwiedzali go znajomi. Ale w czasie, gdy mieszkaliśmy razem, to znaczy do roku 1953, nie zdarzało się to prawie nigdy."²⁶ - opowiada Russovich.

Tak samo Gombrowicz postępował w Polsce, gdzie przecież miał do dyspozycji przestronne mieszkania na ulicy Służewskiej, a po śmierci swego ojca, na Chocimskiej.

Okazję do kultywowania swoistego rodzaju tradycji *szlacheckiej towarzyskości*, stwarzały stoliki czy to w warszawskich "Ziemiańskiej" i "Zodiaku", czy argentyńskich "Gran Rex" i "La Fragata", a wreszcie berliński "Zuntz" i kawiarnia w Vence - "La Regence", gdzie Gombrowicz nie miał właściwie sił na codzienne dawanie wyczerpującego koncertu teatralności. Pisarz zapraszał swoich gości *do siebie* dopiero, kiedy przeniósł się na południe Francji i zamieszkał z Ritą Gombrowicz, która postarała się o stworzenie mu prawdziwego domu, nacechowanego ciepłem i intymnością.

Rozmowy, dyskusje i walki słowne, jakie Gombrowicz prowadził z przyjaciółmi w kawiarniach i klubie szachowym, można nazwać częścią złożonego procesu nadawania miejscu znaczenia, jakiego udzielał mu pisarz, osławiania go, czynienia z niego przestrzeni bliskiej i bezpiecznej, swoistego środka własnego mikrokosmosu.

Tłumaczenie *Ferdydurke* na hiszpański, które odbywało się w "Gran Rex", jak wspominają uczestnicy tej intelektualnej gry, było dla wszystkich niezapomnianą przygodą, a Gombrowicz był inicjatorem tego rytuału. Stolik Gombrowicza, jakże podobny do teatru stwarzanego w "Ziemiańskiej", funkcjonował aż do wyjazdu pisarza z Argentyny. Zofia Chądzyńska, mieszkająca w Argentynie w latach 1950 - 62, tak pisze w swym eseju o Gombrowiczu: "Chłopcy Gombra. Jego zbierani po różnych kątach Argentyny uczniowie. Imiona, którymi ich obdarzał, (...)wymawiał je z przekorną dumą.(...) Był z nich dumny. Zarówno z tego, że wielbili go i słuchali, jak i z tego, że pokpiwali z niego, poufali się z nim, poszturchiwali, ściągając go w ten sposób ku sobie, obejmując ciasno tą wymarzoną młodością, włączając w swój świat(...) przedzierzgał się w uczniów chłonących Prawdę Objawioną, on nie opowiadał już, nie gawędził, nie głądził, nie mówił - 'kazał'. To był Mistrz, a to uczniowie

²⁵ J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, wyd. II uzupełnione, Warszawa 1979, s. 25.

²⁶ Ri. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie*, Wrocław 1999, s. 112.

wie.(...) Podnosiłam się, szłam do toalety. Nikt nie zwracał uwagi. Wychodziłam na ulicę. Spoglądałam przez szybę. Kazał. Słuchali. Ostatnia wieczerza trwała."²⁷

Po wyjeździe Gombrowicza z Argentyny, a nawet już po jego śmierci, przyjaciele spotykali się jeszcze długo w tym samym miejscu, jakby przywołując w ten sposób jego obecność. Dla nich to specjalne miejsce pozostało centrum właśnie ze względu na dawną obecność Gombrowicza, który niemal *konsekwował* sobą jego przestrzeń. Gombrowicz czuł się dobrze nie tylko w Buenos Aires i innych metropoliach.

Odpowiadała mu również rozległość prowincjonalnej przestrzeni argentyńskiej, dająca poczucie wolności i swobody, tak bliskie każdemu potomkowi szlacheckiego rodu. Janusz Tazbir stwierdza: "Jak bardzo swojsko będzie się czuł Julian Ursyn Niemcewicz we dworach zamożnych plantatorów Amerykańskich! Fakt, że otaczały je również plantacje bawełny (a nie tylko samo zboże), na których pracowali ciemnoskórzy niewolnicy, a nie biali chłopci, nie był tu ostatecznie najważniejszy. Podobne wrażenie wyniesie po 150 latach Witold Gombrowicz z argentyńskich ferm i estancji, których właściciele pędzili ziemiański żywot."²⁸ A przecież "przestrzenność jest blisko związana z poczuciem wolności. Wolność implikuje przestrzeń; oznacza to: mieć dość siły i przestrzeni do działania."²⁹ Dlatego pisarz czuł się swobodnie otoczony rozległą argentyńską panoramą, a pejzaż Mar del Plata przypominał mu rodzinną wieś: "Znam to już. Wielkie, szumiące drzewa ogrodu, psy i kaktusy. Sad. Wieś prawie."³⁰

Gombrowicz, wylądowawszy na argentyńskim gruncie bliski był czterdziestki. Chinchina Capdevila w rozmowie z Ritą Gombrowicz wspomina, że ten dziwny, niesłychanie nerwowy i nieśmiały Polak, niesprawiający wrażenia dorosłego człowieka, przez miesiąc prowadził w domu jej rodziców pogadanki po francusku. Ojciec Chinchiny, profesor Arturo Capdevila, znany literat, chciał wprowadzić Witolda w środowisko intelektualne, jednak "jego chłopięcy wygląd wydawał się(...) wybrykiem natury i to w jakiś sposób zaciążyło na ich stosunkach."³¹ Wrażenie widocznej wciąż młodości prawie czterdziestoletniego Gombrowicza podkreśla też mistrz szachowy Paulino Frydman, wspominając pierwsze wrażenie, jakie wywarł na nim ten "młody, szczupły szatyn o wybitnie słowiańskich rysach"³².

²⁷ Ibidem, s. 162.

²⁸ J. Tazbir, op. cit., s. 11.

²⁹ Yi - Fu Tuan, op. cit., s. 72.

³⁰ Witold Gombrowicz, *Dziennik*, s. 269.

³¹ Ri. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie*, s. 17.

³² Ibidem, s. 32.

Do czasu rozpoczęcia prac nad tłumaczeniem "Ferdydurke" na hiszpański i początków pisania "Trans - Atlantyku", poza kilkoma artykułami do gazet, Gombrowicz milczał. Zdawałoby się, że zapomniał o literaturze: "Po *Ferdydurke* przerwa w pisaniu, lat dziesięć. Dopiero w 1947-ym pojawił się *Ślub*. (...) Na miesiąc przed wojną wyruszyłem do Argentyny, gdzie było mi sądzone przeżyć dwadzieścia trzy lata.(...) Dobiłiśmy do Buenos Aires 22(dwójka to moja cyfra) sierpnia 1939(summa cyfr 22), po trzytygodniowej, lekkomyślnej, podróży.(...) Dwieście dolarów, cała moja fortuna wystarczyły mi prawie na sześć miesięcy.(...) Mieszkalem po studencku w podrzędnych hotelikach, pomagali mi niektórzy Polacy, zacząłem trochę pisywać do gazet - anonimowo, felietony przeważnie - przez jakiś okres miałem bardzo skąpy zasiłek z naszego poselstwa. To wszystko nie wystarczało, nigdy nie wiedziałem, z czego będę żyć za miesiąc(...). Tak trwało aż do 1947(...). Następny okres to praca w Banco Polaco. To było znacznie nudniejsze."³³

Ci, z którymi Witold Gombrowicz spotykał się z Argentynie, otwarcie mówią o wielkiej biedzie pisarza - braku ubrań, dachu nad głową i jedzenia:

"Z jego wspomnień po latach o przeżytej nędzy najbardziej wzburzył mnie następujący fakt: właściciel hoteliku nie pozwolił mu wejść(...) krzyczał na niego, szarpał go i nawet poturbował, a była to prawie noc i zima. Udał się wtedy do domu przyjaciół swoich rodziców, gdzie wielokrotnie był zapraszany.(...) pan domu nie wpuścił go, bo akurat wydał przyjęcie. A była to olbrzymia, kilkupiętrowa willa, zamieszkała tylko przez dwie osoby.(...) Kiedyś wieczorem zjawia się u mnie pan Witold. Jest błydy, zielonkawy, ma zapadnięte policzki, kaszle, ciężko osuwa się na krzesło i prosi: Niech mi Pani da coś do zjedzenia, już drugi dzień nic nie jem"³⁴.

Poselstwo Polskie nie chciało się nim zająć, zaś sam pisarz "odgrażał się, że ostentacyjnie ustawi przed wejściem do budynku skrzyneczkę do czyszczenia butów i zostanie czyścibutem."³⁵

W rozmowie z Ritą Gombrowicz Halina Nowińska wspomina też, że Gombrowicz wziął od niej niepotrzebny, stary naftowy piecyk żelazny i bardzo zniszczoną kołdrę, którą z tego właśnie powodu wstydziła się mu ofiarować.

Pisarz przyjmował od ofiarodawców ubrania, drobne sumy pieniędzy, a nawet żywność, bywał na proszonych, skromnych kolacjach i obiadach.

Kłopoty materialne trwały aż do początków pracy Witolda Gombrowicza w Banco Polaco, do grudnia 1947, choć nie skończyły się zupełnie. Na posadzie bankowca płacono mu dość skromnie.

Właśnie w Banco Polaco, pisany w godzinach pracy, powstawał "Trans - Atlantyck", w którym pisarz umieścił wiele z prawdziwych argentyńskich

³³ Witold Gombrowicz, *Testament*, Warszawa 1990, s. 49 - 51.

³⁴ Ri. Gombrowicz, *Gombrowicz w Argentynie*, s. 20.

³⁵ Ibidem, s. 19.

miejsc i sytuacji. Stała praca pozwoliła Gombrowiczowi wydobyć się z nędzy. Zapewne wtedy też postanowił na dobre powrócić do literatury.

Oto fragment listu Haliny Nowińskiej do Rity Gombrowicz, opisujący pracę Gombrowicza - urzędnika w banku: "Pan Witold pracował w sekretariacie (...). Na wprost siebie miał biurko niechętniej mu sekretarki,(...) która o wszystkich 'przestępstwach' pana Witolda natychmiast meldowała mężowi: 'Dziś się znowu spóźnił, dziś niechlujnie ubrany, obrzydliwie je pomarańcze, pestki wypływa do kosza, brak guzika u koszuli i najgorsze - dziś znowu zasnął'"³⁶

Sam Witold Gombrowicz w "Testamencie" tak mówi o swojej pracy w banku: "Rok 1952. Byłem wtedy sekretarzem dyrekcji(...). Żałosny pan sekretarz. Pensja głodowa - około 100 dolarów na miesiąc - wydajność zero. Anty-talent wybitny do funkcji bankowych, nic nie mogłem zrozumieć z tych papierków, godziny bezsensowne, denerwujące, jałowe... *Trans - Atlantyck* próbowałem pisać, gdy prezes wchodził chowałem papiery pod biurko, jak sztubak."³⁷

Zofia Chądzyńska, kiedy poznała Gombrowicza, ten "miał już poza sobą siedmioletni okres nędzy, gdy żył właściwie nie wiadomo z czego; był już po prostu skromnym urzędnikiem Banco Polaco. Choć spędzał tam pół dnia, jego pensja starczała na wynajęcie pokoju, jedzenie, pralnię."³⁸ Na dodatek z powodu zatrudnienia w placówce bankowej uznanej po wojnie przez środowisko polonijne za reżimową, Gombrowicz skazany został na towarzyski ostracyzm. Jak wspomina Wiktor Ostrowski w książce Joanny Siedleckiej "Jaśniepanicz", Gombrowicz "Nic sobie z nich nie robił. Przeciwnie, dolewał oliwy do ognia - zdaniem Polonii - w "Trans - Atlantyku" ośmieszył przecież sprawy najświętsze: Polskę, polskość, przeszłość narodową, a w dodatku i poselstwo rządu londyńskiego w Argentynie."³⁹

Argentyna, przynajmniej w początkowym okresie pobytu, jest dla pisarza równoznaczna z zagubieniem, nędzą, wyobcowaniem i odczuwanym przymusem. Choć nie narzekał, na pewno znosił swój los z trudnością.

Roger Pla jest jednym z tych, którzy podkreślają, że Gombrowicz nigdy się nie skarżył. Wobec rozbitcia całej dotychczasowej egzystencji zachował spokój. Nie wchodził też w żadne literackie koterie, odmawiał dostosowania się do wymogów, wyrabiania sobie koncesji i powiązań. Świadomie usuwał się w cień. "Gdyby sam miał tego typu ambicje, jego osławione 24 lata w Argentynie przebiegłyby zupełnie inaczej.(...) W żaden sposób nie zgadzał się na hipokryzję, na pochlebstwo, na pyszałkowatość (...)." ⁴⁰

³⁶ Ibidem, s. 80

³⁷ Witold Gombrowicz, *Testament*, Warszawa 1990, s. 69.

³⁸ Joanna Siedlecka, op. cit., s. 233.

³⁹ Ibidem, s. 230.

⁴⁰ Ibidem, s. 30.

Tak więc, zważywszy na wręcz tragiczne koleje argentyńskich losów Witolda Gombrowicza (nędza materialna, brak duchowego oparcia w rodakach, świadoma izolacja wobec instytucjonalnej ignorancji), mogło by się wydawać, że pisarz będzie niechętnie wspominał Argentynę. Można by się też spodziewać, że będzie on na ten kraj patrzył jako na miejsce swoich upokorzeń, miejsce obdarzone wyłącznie negatywnymi cechami. A jednak tak nie jest. Gombrowicz darzy obcą ziemię, która przyjęła go niechętnie, mocnym uczuciem, buduje sobie na niej drugą ojczyznę, którą po latach, na zaproszenie Fundacji Forda niechętnie porzuci, by wreszcie w Berlinie zrozumieć, że powrócił do Europy po swoją śmierć.

Spróbujmy odtworzyć niezwykłą przygodę Gombrowicza z przestrzenią, którą przeżył w Berlinie.

Argentyna, jak sam Gombrowicz przyznawał, stała się jego drugim domem. Wyjazd do Berlina na stypendium Forda, paradoksalnie zamiast łagodzić, potęguje jego poczucie obocości w Europie. Berliński klimat i przestrzeń są niepodobne do bliskich mu wymiarów doświadczania rzeczywistości. Ulice miasta, w porównaniu z Buenos Aires, wydają się prawie puste. Część domów, jak odwiedzaną przez pisarza dom Guntera Grassa, wciąż nosi ślady wojny. Gombrowicz stwierdza: "Berlin Zachodni, przedzielony słynnym murem od Wschodniego, liczy sobie niewiele ponad dwa miliony mieszkańców a zajmuje ogromną stosunkowo przestrzeń, co chwila raczącą parkami, jeziorami, lasami, niektóre dzielnice są tak wsadzone w drzewa, że nie wiadomo, domy, czy las."⁴¹ Poza tym, pisarz zauważa, że po długim odosobnieniu w Argentynie, po oddzieleniu oceanem od historii Europy, trafił nagle do miejsca boleśnie reprezentującego najtragiczniejszą jej historię: "Ja, osoba z Argentyny, ahistoryczna raczej i nie przyzwyczajona, wciąż miałem wrażenie, że Berlin, jak lady Macbeth, bez wytchnienia myje sobie ręce..."⁴²

Przestrzenny wymiar i kulturowy charakter tej metropolii nie odpowiadał Gombrowiczowi, przyzwyczajonemu do miejskiej przestrzeni Buenos Aires. Miasto przytłaczało go i sprawiało, że stopniowo popadł w depresję. Kawiarnie Berlina były obce jego pojęciu przestrzeni publicznej i wspólnotowości podobnych miejsc w Argentynie, a bariera językowa, prócz stwarzania problemów z porozumieniem się z mieszkańcami, uniemożliwiała nawiązanie bliskich kontaktów z przedstawicielami berlińskiej inteligencji.

Dlatego też w Berlinie nie udało się pisarzowi odtworzyć klasycznego, gombrowiczowskiego stolika, tego arcyważnego elementu osvajania niezna-

⁴¹ Witold Gombrowicz, *Autobiografia pośmiertna*, wybór, układ, oprac. Wł. Bolecki, Kraków 2002, s. 176.

⁴² Ibidem, s. 179.

nej przestrzeni. Być może Niemcy, którzy przychodzili do "Zuntza" zbyt łatwo się obrażali, albo nie byli w stanie zrozumieć zasad gry, prowadzonej przez Gombrowicza. Może język pisarza był zbyt trudny, a oni nie mówili dobrze ani po francusku, ani po hiszpańsku (nie wspominając o szeleszczących polskich zgłoskach). A może po prostu zabrakło im wyobraźni i poczucia humoru, tak potrzebnych, by uczestniczyć w gombrowiczowskim teatrze?

Zły stan psychiczny Gombrowicza pogłębił zimny, w porównaniu z argentyńskim, klimat środkowej Europy. Odezwała się astma i pisarz musiał leczyć się w szpitalu. Berlińska, najmniej udana próba przeszczepienia gombrowiczowskiego teatru na grunt tamtejszej kultury i oswojenia miejskiej przestrzeni, skończyła się, zanim na dobre zaczęła.

Gombrowicz przyjechał do Berlina w maju 1963 roku i na początku zamieszkał w Akademii Sztuk Pięknych. Wiosenne i letnie miesiące przeżył bez uszczerbku na zdrowiu, jednak europejska jesień i zima okazały się zbyt trudne dla jego organizmu, odzwyczajonego od zimna i śłoty. Pisarz choruje z przerwami, od października, aż do wyjazdu z Berlina w maju 1964 roku. Jak wspomina Ingeborg Bachmann, poetka z Austrii, Gombrowicz często poruszał problem bliskości Polski i poczucia odrębności w Niemieckiej metropolii: "Przypominam sobie, jak spacerowaliśmy ulicami Berlina, które dla nas dwojga były obce i często śmialiśmy się i krzyczeli: *Patrzcie, tam ktoś idzie*, do tego stopnia ulice te wydawały nam się wyludnione."⁴³ Pozostali zaproszeni przez Fundację Forda obcokrajowcy, jak Piers Paul Read, którzy spotykali się z pisarzem, podkreślali, że po prostu *nudził* się on w Berlinie, "Nie czuł się tam zbyt dobrze; mieszkał sam, nie lubił ani teatru, ani opery, *Ach Piers, znowu biegnie pan na jakieś przedstawienie*, mówił do mnie po francusku."⁴⁴

Gunter Grass, znakomicie ujął nie tylko niemożność zaaklimatyzowania się pisarza w Berlinie, ale w ogóle obcość Gombrowicza w Europie.

Powiedział mianowicie Ricie Gombrowicz, że "Wydał mi się (Gombrowicz - M.K.) wtedy obywatelem nie istniejącego państwa, Polski przedwojennej."⁴⁵

Sam Gombrowicz tak podsumował berlińską przygodę: "Opuściłem Berlin po roku, w maju 1964 - go, wyrzuty z sił - ledwie wsiadł do samolotu. Choroba przyczaiła się we mnie już w pierwszych miesiącach pobytu, ale dopiero śniegi, deszcze, wiatry i chmury nieba północnego, nie oglądanego od ćwierć wieku, pobudziły ją i rozwinęły. Dwa miesiące w szpitalu. Kiepski był za mnie gość."⁴⁶ Prócz doświadczenia choroby, samotności i wyobcowania,

⁴³ Rita Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie...*, s. 172.

⁴⁴ Ibidem, s. 210.

⁴⁵ Ibidem, s. 178.

⁴⁶ Witold Gombrowicz, Autobiografia pośmiertna, op. cit., Kraków 2002, s. 185 - 186.

Berlin to dla Witolda Gombrowicza powrót do pamięci dzieciństwa i polskich miejsc z nim związanych. Po latach spędzonych na ziemi argentyńskiej, gdy na zaproszenie Fundacji Forda pisarz wyjechał z wizytą do Berlina, poczuł zbliżającą się starość i przemijanie czasu. Doświadczenie obcej, miejskiej przestrzeni, połączone z chorobą i poczuciem dojmującej samotności, wyzwoliło w pisarzu wspomnienia rodzinnej ziemi. To wspomnienie tym bardziej tragiczne, że zbiega się poczuciem przemijania, starości i bliskiej już śmierci. Gombrowicz zapisał na kartach "Dziennika", że koło jego życia zatoczyło krąg: "Ale wtedy zaleciały mnie (gdym spacerował po parku Tiergarten) pewne wonie, mieszanina z ziół, z wody, z kamieni, z kory, nie umiałbym powiedzieć z czego... tak, Polska, to było już polskie, jak w Małoszycach, Bodzechowie, dzieciństwo, tak, tak, to samo, przecież już niedaleczko, o miedzę, ta sama natura, którą ja porzuciłem przed ćwierć wiekiem. Śmierć. Zamknął się cykl, powróciłem do tych zapachów, więc śmierć. Śmierć"⁴⁷ Podróż z Argentyny do Europy okazała się zamknięciem jego wędrówki, a Gombrowicz w berlińskim parku zrozumiał, że powrócił do Europy po śmierć.

Doświadczenie powrotu pisarza do miejsc dzieciństwa, ta odbywająca się w wyobraźni podróż, wywołana zapachami Tiergarten, wydaje się szczególnie interesująca. Wiemy, że "Doświadczenie jest kombinacją uczucia i myśli. Ludzkie uczucie nie jest następstwem delikatnych doznań: to raczej pamięć i antycypacja potrafią skierować sygnały zmysłowe w zmienny strumień doświadczenia."⁴⁸ Z dala od architektonicznej pustyni Berlina, prawdziwie wiejski zapach wilgotnej ziemi, roślin i drzew, tak dobrze Gombrowiczowi znany z Polski, spowodował powrót pamięcią do rodzinnych stron i dzieciństwa spędzonego na wsi: "Nowoczesne otoczenie architektoniczne może wprowadzić zadowalać oko, ale często jest pozbawione tej wyraźnej osobowości, na którą składają się zróżnicowane i przyjemne zapachy. Zapachy nadają charakter. Dzięki nim przedmioty i miejsca możemy rozróżniać, identyfikować, zapamiętywać. Zapachy są ważne dla ludzi."⁴⁹

Nie tylko widzenie świata służy konstruowaniu rzeczywistości, równie ważny jest zmysł pozwalający na odczuwanie zapachów: "Widzenie, co już dawno zauważono, nie jest zwykłą rejestracją bodźców świetlnych; jest to selektywny i twórczy proces, w którym bodźce z otoczenia ulegają organizacji w płynne struktury, przekazujące rozumnemu organizmowi znaki nasycone treścią. Czy zmysły smaku i dotyku otrzymują informacje od umysłu? Często lekceważymy siłę tych zmysłów, a tymczasem francuski czasownik *savoir* (wiedzieć) jest blisko spokrewniony z angielskim *savour* (smak, smakować). Smak,

⁴⁷ Witold Gombrowicz, *Dziennik 1961 - 64*, Kraków 1988, s. 140.

⁴⁸ Yi - Fu Tuan, op. cit., s. 21.

⁴⁹ Ibidem, s. 22 - 23.

węch i dotyk mogą być doskonale wyrafinowane. Dokonują one wyborów pośród bogactwa wrażeń i rozpoznają światy smaków, zapachów i faktur.⁵⁰ To właśnie przydarzyło się Witoldowi Gombrowiczowi w berlińskim parku. Zapach tego miejsca, będący mieszaniną wilgotnych roślin, ziemi i drzew, spowodował nagle wrażenie znalezienia się bardzo blisko Bodzechowa i Małoszyc. Dlaczego jednak ten zapach wywołał w Gombrowiczu poczucie zbliżającej się śmierci? "Dlaczego nie zrozumiałem, że dla mnie Europa musi być śmiercią? - *Zadaje pytanie pisarz* - Wszak dla człowieka, jak ja, dla kogoś w mojej sytuacji, wszelkie zbliżanie się do dzieciństwa i młodości musi być zabójcze - i choć nie-raz potem *dziwiłem się*, że coś tak wątlęgo, jak woń, mogło znienacka tak radykalnie wykończyć mi życie, to przecież odtąd śmierć co chwila przysiadami na ramieniu, niczym ptak, w ciągu całego pobytu w Berlinie."⁵¹

Wilgotna ziemia i rośliny, zapach zgnilizny, przypominają człowiekowi o naturalnym cyklu życia i śmierci, obecnym w przyrodzie od zawsze. Być może, dlatego właśnie ludzie nie lubią tego zapachu, kojarząc go natychmiast ze śmiercią.

Człowiek obawiający się śmierci, stara się za pomocą mechanizmów kulturowych, zaprzeczyć jej nieuchronności i wykluczyć jej obecność ze swego życia. Tymczasem śmierć przypomina o sobie poprzez świat zapachów, charakterystycznych dla natury: "Niektóre zapachy mają mocne, biologiczne znaczenie. Zapach ciała, na przykład, może pobudzać aktywność seksualną. Dlaczego jednak dla wielu ludzi dorosłych zapach zgnilizny jest wstrętny? Ssaki o nosach znacznie czulszych niż nos ludzki lubią zapach gnijącego ciała. Również dzieci ten zapach nie razi. Langer sugeruje, że zapach zgnilizny stanowi dla dorosłego człowieka *memento mori*(...)." ⁵²

Ten zapach, charakterystyczny dla biologicznego, związanego z naturą wymiaru rzeczywistości ludzkiej, wywołuje u Gombrowicza natrętne wrażenie przemijania i bliskości śmierci, od którego uwalnia się na chwilę w słońcu południa Francji, w Vence. "A jednocześnie okres argentyński - *pisze Gombrowicz* - (...) nabierał blasku mitologicznego."⁵³ Argentyna w Berlinie stawała się takim właśnie miejscem mitycznym, obdarzonym przez pisarza ciepłymi wspomnieniami, a "Miejsce może nabrać wielkiego znaczenia dla osoby dorosłej dzięki sentymentowi narastającemu z upływem czasu."⁵⁴ Podobnie uświęconą przez pamięć przestrzenią stały się miejsca dzieciństwa, z czego pisarz zdał sobie sprawę w Berlinie. Doświadczenie miejsc młodości i dzieciństwa to

⁵⁰ Ibidem, s. 21.

⁵¹ Witold Gombrowicz, *Dziennik 1961-64*, Kraków 1988, s. 140-141.

⁵² Yi-Fu Tuan, op. cit., s. 22.

⁵³ Witold Gombrowicz, *Dzienniki 1961-64*..., s. 141.

⁵⁴ Yi-Fu Tuan, op. cit., s. 49.

intymne przeżycie, wylaniające się z całą mocą ze, zdawałoby się, zapomnianej przeszłości: "Intymne doświadczenia tkwią w nas tak głęboko, że nie tylko brakuje nam słów, żeby je wyrazić, ale często nie jesteśmy ich nawet świadomi. Kiedy z jakich powodów wypływają one na powierzchnię naszej świadomości, występują wówczas z ogromną mocą, której nie mogą dorównać żadne zamierzone działania czy przemyślane doświadczenia."⁵⁵

A teraz powróćmy wraz z Gombrowiczem na wieś.

Znamy już miejsca dzieciństwa Witolda Gombrowicza - Bodzechów i Małoszyce. Wiemy też, jak zapamiętali rodzinę Gombrowiczów jej okoliczni sąsiedzi. Spróbujmy zatem się przyjrzeć, jaki portret mieszkańców wsi, chłopów i ziemiaństwa, rysuje na kartach *Ferdydurke* Gombrowicz.

Józio - bohater *Ferdydurke* - wędruje przez miasto, aż do jego granicy i dalej, na wiejskie pustkowia. Miasto, choć brzydkie i skażone groteskowością, jest jednak w jakiś sposób, nawet w onirycznej rzeczywistości "Ferdydurke", symbolem ładu i odbiciem kosmosu. Siedzibą innych ludzi, którzy są dla Józia niejako "środowiskiem naturalnym", zbudowaną od centrum ku granicom, przełamująca jednorodność przestrzeni. Miasto, w którym dzieje się akcja powieści, stworzone jest przez Gombrowicza zgodnie z zasadą: im bliżej od centrum do granicy, tym większe zagrożenie chaosem (czyli naturą).

Droga prowadzi Józia na przedmieścia, a tam znikają znaki i sygnały charakterystyczne dla ludzkiej wspólnoty. Teren miasta kończy się nagle, brak płynności w przechodzeniu jego obszaru w miejsce niezamieszkane.

Wychodząc poza granicę miasta bohater czuje strach i zastęga w bezruchu. Spotkanie z pustkowiem jest, bardziej dla Józia niż Miętusa, przeżyciem traumatycznym: "(...)nie mogłem postąpić kroku. Śpiew zamarł mi na ustach. Przestrzeń. Na widnokręgu - krowa. Ziemia. W dali przeciąga gęś. Olbrzymie niebo. We mgle horyzont siny.(...) Pośród obcych krzewów i ziół drżałem jak liść na wietrze, wyzuty z ludzi, a deformacje uczynione mi przez nich, stały się bez nich niedorzeczne i niczym nieusprawiedliwione."⁵⁶

W Miętusie zwycięża chęć "pobra...tania się" z parobkiem i to on poprowadzi Józia dalej.

Bohater idzie za swym przewodnikiem: "(...) Miętus ruszył odważnie ścieżką wzdłuż szosy - ja za nim, jakbym łódką wypływał na pełne morze. Już znika ład, nikną kominy i wieże, jesteśmy sami."⁵⁷

Nie widać też wyraźnych kierunków, można iść przed siebie, ale dokąd właściwie? Nie bardzo wiadomo, bo choć Miętus i Józio idą drogą przez pola i

⁵⁵ Ibidem, s. 173.

⁵⁶ Witold Gombrowicz, *Ferdydurke*, Warszawa 1956, s. 213.

⁵⁷ Ibidem, s. 213.

lasy, nikogo nie spotykają: "Ruch na szosie ustał zupełnie, czy długo mamy kroczyć po pustym?"⁵⁸ - Zapytuje bohater. Tymczasem coraz dalej od miasta, ciemniej i straszniej: "Pędzimy, wjeżdżamy w ogromny bór(...) okolica jest zła i złowieszcza. Jakże daleko jesteśmy! Gdzieżeśmy zajechali! Olbrzymi kawał brutalnej, czarnej prowincji, śliskiej od deszczu i ociekającej wodą(...)." ⁵⁹. Przyjeżdżają do siedziby wujostwa Hurleckich i Józio znów powraca do swego dzieciństwa, tutaj spędził pierwsze lata życia.

Bohaterowie Gombrowicza zamieszkujący ziemiański dworek są jakby odizolowani od szerszej ludzkiej ekumeny, przebywają w czasie świątecznym. Nie jest to jednak święto w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Hurleccy żyją w stanie para - świątecznego zawieszenia. Na co dzień otoczeni nadmiarem, jedzą, próżnują, grają w karty i polują dla rozrywki (te obrazy znamy już z *Jaśniepanicza* Joanny Siedleckiej). Jaśniepaństwo jedzą na pokaz, by nadmiarem podkreślić swą wyższość w hierarchii socjalnej. Próżnują również na pokaz, by nadać sens istnienia swej klasie społecznej. Wuj Konstanty zajada ze smakiem, a nawet wypłuka kawałek grzanki, który mu nie smakował. Ostentacyjna sytość państwa koliduje z biedą i głodem panującymi na wsi: "Jedliśmy, choć już nie bardzo mogliśmy (...) żołądek pełny, duszno, za oknem szaruga, nadmiar, przesyć, za dużo, bogactwo straszne, biedermeier napawa od dołu."⁶⁰

Kiedy zaś dochodzi do nocnego "tresowania" parobka, jedzenie i picie połączone jest z biciem po twarzy i poniżającymi rozkazami: "Całuj mnie w nogę! Ukłoń się! Padaj do nóg!" ⁶¹. Wydawanymi tylko po to, by ukazać wyższość pańskiego stanu i moc dworskiego obyczaju. Bicie po gębie to odwieczny przywilej pańskości, tu mający namacalnie unaocznnić parobkowi różnice statusów. A jednak Miętusowi udaje się te różnice zniwelować, co więcej, dzięki jego aktywności sakralny czas święta nabiera właściwego wymiaru.

Miętus zakochanym wzrokiem patrzy tylko na parobka. Chcąc go ośmielić, zagaduje w kredensie i prosi, by ten podał mu rękę. Parobek nie rozumie, czego chce zwariowany panicz. Wtedy Miętus każe mu dać sobie po gębie. Niestety i to nie przemogło niemożności pobratania się: "Na szczęście syna ludu rozśmieszyły pańskie fanaberie. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że jaśnie pan jest pomieszany na umyśle(a nic tak nie ośmiela gminu jak choroba umysłowa państwa), i jął z chłopska pokpiwać sobie, co wytworzyło komitwę."⁶² Parobek i kuchta śmieją się z Miętusa, ale stopniowo i z pańskich przy-

⁵⁸ Ibidem, s. 214.

⁵⁹ Ibidem, s. 219.

⁶⁰ Ibidem, s. 226.

⁶¹ Ibidem, s. 275.

⁶² Ibidem, s. 235.

zwyczajów, zachcianek i głupstw: "Państwo nie robiom, ciągiem ino żrom i żrom, to ich rozpiro! Żrom, chorujom, wylegujom się, po pokojach chodzm i gadajom cosik. Co tyż się nie nażrom! Matko Jezusowa! Ja to bym połowy nie zeżarł, choć ta zwykły cham jezdem.(...) Żeby tak kole mnie kto obrządał, a wygadał, to bym, sprawiedliwie mówię, wolał pod ziemię się zapaść. Pona dziedzica na wieczór maściom muszę smarować. Państwo som mientkie, a rącki to takie majom!(...) Spacerujom, żrom, parlujom parlefrance i sie nudzm. (...) dziedziczka dobrotliwa je! - A dobrotliwa, bo ludzi dusi - to jakże, musi być dobrotliwa! - Pani dziedziczka krowy się boi."⁶³

Ostentacyjna konsumpcja, fizyczna słabość i delikatność państwa śmieszają lud, przebywający w "niższym" segmencie kulturowego porządku.

Od momentu kredensowego pobratania się z parobkiem wieść o głupawym paniczu z miasta rozchodzi się lotem błyskawicy po wiejskich gumnach i dworskich czworakach. Przerażony grozącymi dworowi konsekwencjami, Józio chce uciekać nazajutrz po spoufaleniu się chamskiej ręki parobka z pańską twarzą Miętusa. Zostaje jednak i obserwuje rozgrywający się dramat. Józio poznał tajemnicę pańskości, która opiera się o "dialektykę potrzeb i wartości" wyjaśnioną przez Gombrowicza we *Wspomnieniach polskich*. Wuj Konstanty poziewuje, pojada, upuszcza papierośnicę (by służba podniosła), emabluje gości pańskim obyczajem, pozwala się obsługiwać właśnie przeciw służbie, z ludu się wywodzącej.

Tym okazuje swą pańskość, że odróżnia się od chamstwa ubiorem, tradycją, zwyczajem. Jednak chamstwo przeraża państwa, które odczuwa moc drżmiącą w wiejskim ludzie. Czyn Miętusa odwraca ten świat do góry nogami, burzy odwieczny ład ziemiańskiego dworu. Tworzy napięcie, którego narastająca fala znajdzie ujście w scenie tresowania lokajczyka i szturmie ciemnej jak sama noc chłopskiej masy na dwór. Wtedy to, wraz z wybuchem społecznej aktywności, zniwelowaniem statusów i ośmieszeniem autorytetów, nastaje *świat na opak*.

Hurleccy zapraszają tymczasem swego gościa do spaceru po podwórzu. A tam, niczym na ziemi nieznanej, oczom Jaśniepaństwa ukazują się egzotyczne widoki.

Inwentarz gospodarski, narzędzia rolnicze, fornale i chłopię, dziewczki i chłopaki od krów. Stado tych zwierząt przeraża panią dziedziczkę, która krzyczy: *Uwaga! Uwaga, pozwólcie im przejść!* Krowy, które przestraszyły panią, zostają odgonione.

Dziedzic klnie fornali, dziedziczka pozwala całować się po rękach, panicz Zygmunt ogląda konia. Nad wszystkim ciąży jednak ludowy prześmiejch z pańskiej rączki, bużki i nóżki; lud naigrywa się z pańskiej delikatności.

⁶³ Ibidem, s. 236 - 237.

W eseju *Dziedzic z sandomierskiego* Jerzy Jarzębski odkrywa przed czytelnikiem tajemnicę, której przecież łatwo się domysleć. Pierwowzorem postaci ciotki Hurleckiej z "Ferdynurka" jest matka Witolda, która tak bała się krów, że wedle świadectwa Jerzego Gombrowicza, nigdy nie towarzyszyła mężowi w obchodzie gospodarstwa⁶⁴.

Lud wiejski, który im się przygląda jest "odwieczny i nienaruszony, osadzony w sobie"⁶⁵, a Józio czuje bijącą od masy moc, spiętrzoną jakby stu tysięcy fernalskich koni. Moc ta bierze się z bliskiego kontaktu z ziemią, zwierzętami i naturą, a więc sacrum. Dlatego też noc, zamykająca ziemianstwo w obrębie oświetlonego domostwa, nie jest groźna dla chłopów, wyśmiewających się z państwa w ciemnościach pałacowego parku. Dlatego Walek ucieka przed gniewem dziedzica w las. Wreszcie dlatego, zauważa Józio, dwa różne porządki nie mogą się spotykać inaczej, niż za pośrednictwem ustalonych mediatorów. Chłopom nie wolno zbliżać się i dotykać państwa, a państwo nie dotyka chamstwa. "Dzikimi" i niedotkniętymi pozostają zwierzęta gospodarskie i folwarczne dziewczki, niezrozumiale nucące coś na ludową nutę.

Jednym z ważnych elementów różniących chłopów od panów jest dla Gombrowicza ich cielesność i silny związek z naturą. Chłop z grubymi paluchami jest związany, bardziej niż szlachcic, z własnym ciałem. W swym *naturalnym stanie*, nieskażony przez inteligenta, jest silny, przysadkowaty i krępy, jakby wyciosany z jednego bloku kamienia. Jest też chłop nieskończenie różny od pana - smukłego i chudego, sztucznego, z cienkimi wargami i palcami, wymuskanego przez kulturę i odwieczny obyczaj⁶⁶.

Opisane przez mnie przykłady pokazują nieprzekraczalne różnice, jakie wedle Gombrowicza dzielą naturę i kulturę, miasto i wieś, chłopów i właścicieli majątków ziemskich.

Na koniec należy podkreślić, że "Przywiązanie do rodzinnych stron jest właściwe wszystkim ludziom. Jego siła jest różna w różnych kulturach i w różnych okresach historycznych."⁶⁷ Było obecne i w Witoldzie Gombrowiczu, choć żadną miarą nie przyznałby się do tego. Zaś "Ziemia rodzinna ma swoje punkty charakterystyczne, którymi mogą być elementy bardzo widoczne i powszechnie zrozumiałe, takie jak pomniki i świątynie. Jak pole bitwy czy cmentarz. Te widoczne znaki zwiększają w ludziach poczucie tożsamości, budzą świadomość i lojalność wobec miejsca. Ale silne przywiązanie do ziemi rodzinnej może zrodzić się niezależnie od wszelkich uznanych pojęć świętości:

⁶⁴ J. Jarzębski, *Podglądanie Gombrowicza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000, s. 43.

⁶⁵ Witold Gombrowicz, *Ferdynurka*, Warszawa 1956, s. 253.

⁶⁶ Szerzej pisze o tym problemie J. Błoński, *Gombrowicz a etos szlachecki*, [w:] *Forma. Śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*, Kraków 2003.

⁶⁷ Yi - Fu Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, Warszawa 1987, s. 200.

może powstać bez udziału pamięci bohaterских bitew, wygranych czy przegranych, i bez poczucia lęku czy wyższości wobec innych ludzi. Przywiązanie głębokie, choć nieświadome, może pojawić się łatwo, wraz z poczuciem bezpieczeństwa i zaspakajania biologicznych potrzeb, z pamięcią zapachów i dźwięków, społecznych działań i przyjemności domowych, które gromadzą się z czasem. Wyrazić tego rodzaju przywiązanie jest bardzo trudno.⁶⁸ Ten typ przywiązania do ziemi rodzinnej i przestrzeni dzieciństwa jest charakterystyczny dla intymnego berlińskiego doświadczenia miejsca i czasu oraz nieco wstydliwego przeżywania polskości, które tak zaskoczyły Gombrowicza mocą wywołanych wspomnień w trakcie spaceru po Tiergarten.

⁶⁸ Ibidem, s. 200 - 201.